GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 1 | Poznań, dnia 12 stycznia 1936 | Cena 20 gr

Michał Pawlikowski, Zakopane

NACJONALIZM I KATOLICYZM

Zamęt*) pojęć o państwie jest spadkiem ostatnich stuleci walk najrozmaitszych interesów. Wszelkie teorje, zanim dostaną się na seminarja socjologiczne, tworzy konstatowanie stanu faktycznego, albo faktyczna potrzeba. Stosownie do tego teorje o państwie są albo wyrazem tych interesów, albo ich narzędziem. Ponieważ zarówno ograniczony czas, jak brak oczywistej potrzeby nie zmusza nas do rozplątywania tego chaosu pojęć w jego historycznym rozwoju, bo cel nasz główny skupić się musi we własnym, jasnym programie — ograniczę się do przeglądu źródeł. Głównym interesem, który wytworzył pojęcie o państwie jest interes takiej czy innej zbiorowości, stanowiącej jego treść. Z interesem tym zbieżne lub rozbieżne są inne, zewnętrzne, które w praktyce ograniczają się do dwóch: interes dynastyczny i interes klik, komplotów, koterji, czy jak je nazwiemy, a których nic nie łączy jak tylko właśnie wspólny interes. Z tych główną jest organizacja międzynarodowego kapitału, znana nam jako wolnomularstwo.

Kiedy po roku 1815 począł się walić misterny gmach równowagi interesów dynastycznych, zbudowany na kongresie wiedeńskim ponad głowami mas, nie bez udziału chwilowego sojusznika: kapitału międzynarodowego, który przeciwko nim igrać zaczął z ogniem: ze zbiorowością, — zostało na placu niemal samo wolnomularstwo przed otwartą klatką lwów. Rdzewiały już i tak pręty tych klatek, ale kluczem, który je otworzył było hasło „praw człowieka i obywatela". Tylko że twórczy, biologiczny instynkt mas nie ograniczył się do rozbijania dawnych form, ale hasło to zrealizował w kierunku konsolidacyj narodowych. Ponad prawo ludzi wyrosło prawo ludów i — tak samo jak w prahistorji urządzania świata, — utworzyło narodowe państwa zjednoczonych Włoch, Belgji, Grecji, Serbji, Bulgarji, Rumunji, trzęsło Francją, budziło Polskę.

Mocarstwo anonimowe, złożone z jednostek pozbawionych tych instynktów i dlatego niedoceniających ich w ludziach, stanąwszy wobec żywych sił, grożących mu zagładą, poczęło im w poprzek budować sztuczne zapory: międzynarodowe koncepcje klasowe. W ślad za temi koncepcjami szło każdorazowe przefasonowywanie pojęcia o państwie. Sypały się definicje i tak zwane idee, od dołu i od góry. Kiedy się jednak okazało, że jedna po drugiej zbankrutowały za rozsypującemi się w proch koncepcjami ustroju klasowego, — wraca już tylko stara, na nowo odlakierowana, atomistyczna teorja Rousseau'a, że ludzkość czy jej część nie jest niczem więcej, jak zbiorem indywiduów, tak jak kupa piasku jest zbiorem ziaren piasku, a dzielić je można i zsypywać jak się komu podoba.

Duch czasu dopuszcza różnicowanie tych ziaren na różne wielkości: na genialne i uprzywilejowane, na białe i czarne. Przenosząc porównanie w zakres żywych ludzi, państwo jest hotelem, kooperatywą, — dajmy na to, jeśli ma jeszcze służyć wyższym celom: zespołem teatralnym, — a trwałość jego zależy od zgody pomysłów i — oczywiście — od gaży.

Jest rzeczą zastanawiającą, jak często zdarzają się ludzie — wierzę, że między nami jako ludźmi dobrej woli takich niema, którzy może nawet nie głosiliby przed wojną trójlojalizmu pod hasłem, że wszelka władza pochodzi od Boga, ale którzy dziś z emfazą wołając, że mamy swoje państwo i winniśmy mu nietylko całkiem słusznie, lojalność, — ale i entuzjazm dla danego rządu i porządków, — zapominają dodać czyje właściwie to państwo ma być, i co pod tem „swoje" rozumieją, przechodząc do porządku nad ideą narodową. Wyrachowanie nieraz już posługiwało się hasłami mas, których treść w praktyce deptało.

Bo oczywiście tam gdzie frazes ten miał być skutecznym, nie liczył on na zastosowanie tezy: „że państwo jest własnością wszystkich obywateli", która nie wytrzymuje krytyki w praktycznem zastosowaniu. Habsburska Austrja przecie też była własnością obywateli i to z o wiele większą racją niż Polska. Rządy w monarchji habsburskiej były bowiem bardziej demokratyczne niż w Rzplitej Polskiej, w której zupełnym paradoksem jest tego rodzaju nieaktualna formułka demokratyczna. Zdaje mi się jednak, że nikt z obywateli byłej Austrji nie reklamował rozkładu tej swojej współwłasności!

*) W połowie grudnia ub. r. zorganizowało krakowskie Odrodzenie „Tydzień społeczny", który zgromadził odrodzeniowców ze wszystkich uniwersytetów polskich. Tematem dyskusyj było zagadnienie pracy. Prelegenci, niemal wyłącznie starsi, ujmowali je na różnych odcinkach i z rozmaitych punktów widzenia. Naogół cechowała wszystkie wywody silna abstrakcyjność, skłonność do ujęć filozoficznych, a pewna niechęć do realizmu. Najciekawsza dyskusja rozwinęła się około pracy dla narodu i państwa. Referent, docent Karol Górski z Poznania zmienił w ostatniej chwili tytuł wykładu i zacieśnił wywody tylko do pracy dla państwa. Stał na stanowisku personalizmu, naród — w przeciwieństwie do państwa — uważał tylko za przypadłość i kategorję dziejową, odmawiał mu osobowości, więź państwową tłumaczył wspólnym interesem. Całość, ujmowana ze stanowiska filozoficznego, często grzeszyła niezgodnością z życiem. Może śmiało o sobie powiedzieć, że rozbił się o „filozafji [sic] gorzkiej kamień".

Michał Pawlikowski wygłosił koreferat, który podajemy w całości.

To też ta formuła nie daje żadnej gwarancji, ani nawet wytłómaczenia spoistości państwa. Jedność państwa utrzymywać może do pewnego czasu bat despoty, — o ile mu naturalnie nie przyjdzie fantazja odprzedawania kraju po kawałku dla doraźnych swych potrzeb, — bo tu przynajmniej wspólność interesów skupia się w jednej osobie, którą czasem zastępuje klika, — ale nigdy sama wspólność interesów „ludzi i obywateli", bo ta jest dzisiaj taka, a jutro inna i zależy od okoliczności zewnętrznych. Interes taki stworzyć może każda pokusa podsunięta przez zachłannego sąsiada czy kapitał międzynarodowy.

Pokazuje się, że obywateli musi coś innego łączyć, niż związek wynikający z samego faktu, że są oni w danej chwili obywatelami danego państwa. — Musi ich łączyć jakaś więź nie mechaniczna, ale organiczna, żywa, i oparta na niej nieprzemijająca idea łączności. Elementem treści państwa jest żywy człowiek, stworzenie boskie i jak wszystko inne stworzenie podlega prawom przyrody. Te same prawa prowadzić go mogą zarówno w dół, jak w górę, niemniej nad prawami temi ani do porządku przechodzić, ani zastępować ich formułami spekulatywnemi nie można, bo albo będzie to trud daremny, albo doprowadzi do śmierci żywej psychy człowieka. Jednem z takich praw przyrodzonych jest prawo zbiorowości ludzkiej. Ktoby wpoprzek jemu chciał iść, ten potknie się zaraz u progu o kwestję rodziny, gdzie stanie w konflikcie z Bogiem. Rodzina jest pierwszą organiczną zbiorowością ludzi. Stopniem jej wyższym jest rodzina rodzin, czyli naród, a państwo jest formą jego bytowania, odpowiadającą prymitywnej organizacji rodziny we własnym domu. Jest jego tworem i własnością, jak skorupa żółwia jest własnością żółwia. Naród jest organizmem żywym, a kitem biologicznym idea narodowa, idea braterstwa w narodzie. Można bowiem być „braćmi w narodzie", jak „braćmi w Chrystusie", — ale nie można być „braćmi w interesie". Wszelkie teorje, przeczące temu, że państwo jest własnością żywego organizmu, jakiem jest zbiorowe indywiduum narodowe, prowadzą do tego, iż jest ono własnością kolektywną osób — tertium non datur. Oczywiście czego innego niktby jawnie nie wyznał. A stając wobec kolektywizmu, przeczytajmy sobie, co o nim mówi encyklika „Quadragesimo Anno".

Ta tylko polska idea narodowa zbudowała przez wieki życia narodu Polskę i ta tylko doprowadziła do odzyskania państwa polskiego i ona tylko daje gwarancje jego przyszłości. Bez jej zbiorowości organicznej, jaką jest naród, państwo jest trupem, może być conajwyżej kontraktowym zespołem przypadkowych zbiorowisk ludzkich, dzielących się i łączących dziś w tych, a jutro w innych granicach, zależnie od konjunktur tej czy innej grupy ludności.

Jest rzeczą już dziś nie dającą się zaprzeczyć, że cały świat ogarnia wielki, ożywczy prąd poczucia narodowego, będącego reakcją przeciw niwelacji organizmów narodowych, jaką przez czasy ostatnie szerzyła masonerja. Widzimy przerażająco jasno, iż w krajach, gdzie prąd ten jest dławiony i wstrzymywany, ustępuje on nie żadnym innym prądom uniwersalistycznym, lecz tajnej organizacji międzynarodowego interesu. Indyferentyzm narodowy nie oddaje ludzi chrześcijaństwu, ale prowadzi ich albo drogą komuny, albo drogą egoizmu osobistego, wyprodukowanego przez zarówno indywidualizm oderwany od pnia, jak i wyłączny personalizm, zastępujący więź naturalną wyrachowaniem interesu czy ambicji osobistej — w objęcia masonerji.

Ale poczucie narodowe nie dało się, nie da się i nie powinno się dać zdusić, bo jest głęboko zakorzenione w naturalnem i boskiem prawie ogniska rodzinnego i pierwszeństwa swoich przed innymi.

Miłość i solidarność, promieniejąc od domu, ogarnia szerokie koła ludzi czujących się braćmi. Tak się dzieje bez względu na to na jakie tory, dobre czy złe, budzący się ten ideał skierowują, lub skierować usiłują w różnych krajach jego przywódcy.

Naturalną konsekwencją, zarysowujących się solidarności narodowych, jest zaznaczanie się przeciwieństw, niema bowiem solidarności bez kontrastu, jak niema kontrastu bez różnicy natężenia kolorów. Tragicznie jednak mylą się ci, którzy nie wiedzą, iż różnicowanie się ludzkości jest prawem przyrodzonem bytu i potrzebą społeczną, — oraz, że zabijanie tkanek naturalnych, organicznych, mści się, wytwarzając sztuczne solidarności i sztuczne przeciwieństwa klasowe, wrzynające się jak tkanki rakowate wpoprzek tkanek naturalnych ku rozkładowi społecznemu. Dzieje ostatnich stuleci jaskrawy dają tego przykład. Fałszywe, materjalistyczne „braterstwa" wyziębiają serca i niszczą wszelki ich pęd ku ideałom.

Moralnym celem ludzkości jest budowa gmachu miłości powszechnej przez poszerzanie jej od podstaw ku coraz wyższym piętrom, na drodze, jaką wskazał Bóg w cudzie swojego stworzenia, a której w przykazaniach swych i Ewangelji nie zaprzeczył, ale ją potwierdził. I tylko na tej drodze możliwe jest wzajemne zrozumienie i współczucie z innemi narodami i przybliżanie się do świetlanego celu: ogólnej harmonji struktury moralnej świata.

Faktem, dającym się łatwo stwierdzić, faktem, który powinien prowadzić do zdecydowanych wniosków, jest równoległość budzącego się wszędzie poczucia narodowego do wzmożonej, żywiołowej potrzeby uczuć religijnych, wypływającej z tej samej idealistycznej reakcji.

W masach polskich zbieżność tego odrodzenia ideałów narodowych i religijnych jest bardziej jeszcze znamienna i wrodzona niż gdzieindziej. Jest to bowiem łączność atawistyczna, odziedziczona tysiącletnią tradycją.

Naród polski przed wiekami szedł do zwycięstwa z pieśnią do Bogarodzicy, wielką politykę narodową łączył z apostolstwem wiary i jej główną podstawą: miłością bliźniego. Odradzał się i wypływał z potopu, oddając koronę Najświętszej Marji Pannie w katedrze lwowskiej, jednością tych ideałów świeciła Chełmszczyzna, na sztandarach konfederatów barskich i powstańców z jednej strony widniał orzeł biały, a z drugiej Częstochowska. Tak było, pomimo nieraz opanowania szczytów polityki polskiej przez obcych lub przez masonów. Bo solidarność tych ideałów leży we krwi polskiej — a wielcy ludzie Kościoła, będąc równocześnie wielkimi patrjotami, wzmacniali te tradycje: Brudzewski, Oleśnicki, Skarga, Kordecki, Konarski, Skorupka i inni.

Już z tego historycznego związku ducha narodowego z religją katolicką wynika, że na całkiem odrębnych tradycjach wyrosły nacjonalizm polski nie jest podobny do żadnych innych nacjonalizmów i że ma zadatki twórcze niewyzyskane jeszcze, jakich żaden inny naród w tym stopniu nie posiada.

Tę równoległość ideałów w nastawieniu psychiki mas w całym świecie rozumieją przywódcy ruchów narodowych i — bądź solidaryzują się ściśle z religją panująca, bądź też, tam zwłaszcza, gdzie niema religji jednolitej, starają się stworzyć jej namiastkę, nową wiarę, przystosowaną do swoich potrzeb. Jedna zatem strona wyciąga z tego faktu wnioski właściwe. Druga strona zbyt często niestety zdaje się ich nie widzieć.

Organizacje zaś międzynarodowe, dostrzegłszy w tym ideowym związku największe dla siebie niebezpieczeństwo, starają się go wszelkiemi siłami rozbić, usiłując zohydzić w oczach Kościoła czysty ideał narodowy, a narodowcom tłumaczyć, że nie mogą niczego od Kościoła oczekiwać. Nie chce podawać przykładów, jakkolwiek byłyby i pożyteczne i dość jaskrawe, — aby nie schodzić na grunt polityczny.

Naturalną solidarność ideałów, które się oto budzą równocześnie, masonerja rozbić usiłuje w ten sposób, że próbuje narazie ze słabym skutkiem łączyć się z jednej strony z ruchami nacjonalistycznemi, dążącemi do silnych państw narodowych, i o ile możności wyzyskać je przeciw Kościołowi i religji wogóle, a z drugiej strony podsuwa ruchowi katolickiemu raz zbankrutowane idee Paneuropy, Europejskich Stanów Zjednoczonych, ekonomicznemi interesami powiązanych, z koncesją dla regjonalnych odrębności kulturalnych, reprezentowanych przez delegacje narodowościowe poszczególnych „krajów", to znowu — i co jest znamiennem: w tych tylko krajach, gdzie są miłe jej rządy, nienarodowe, — wysuwa koncepcje państwa ponadnarodowego, dziwnie czasem przypominające we formach, zwalczane gdzieindziej teorje państw „autorytatywnych i totalnych".

W obu wypadkach oczywiście knotami tych świec są sprawy czysto ekonomiczne. Otóż korzystając z tego, że w obliczu światowego kryzysu i biedy Kościół katolicki, za inicjatywą Ojca świętego, podjął pracę dla zaradzenia nędzy i przebudowy gospodarczej, stara się masonerja w umysłach ludzkich kojarzyć swój rzekomy program z programem Kościoła katolickiego, bez względu na to, że zarówno pobudki jej jak i cele są inne, — a tą drogą przesączać przekonanie, że Kościół, tak jak ona, nad kwestją narodu przechodzi do porządku dziennego. Pozatem prowadzi bardzo subtelną grę, starając się obniżyć wśród katolików intencję Kościoła. Zdarzają się tacy, którzy błędnie tłumaczą sobie troskę Kościoła o chleb powszedni ludzi, uważając, że można prowadzić człowieka do ideału przez wskazanie mu interesu materjalnego. Byłaby to metoda nietylko z zasady niemoralna, ale wobec dzisiejszej ewolucji byłaby strategją chybioną. Przewrót świata dokonuje się w tej chwili daleko silniejszy na terenie idealistycznym, niż ekonomicznym, i budowanie zarówno państwa jak wszelkich innych struktur społecznych na uzgadnianiu interesów materjalnych, wcale nie jest drogą do podporządkowania ludzkości idei chrześcijańskiej. Kościół nietylko nie potrzebuje uciekać się do metod masońskich, ale ktoś, ktoby podając się za jego rycerza pod temi hasłami chciał dystansować masonerji, traciłby siły daremnie. (C. d. na str. 2-ej)

Kazimierz Bross, Poznań

L. Mierosławski winien czy nie winien?

(Na marginesie artykułu Adolfa Nowaczyńskiego „Mierosławski zrehabilitowany?")

Adolf Nowaczyński poruszył na łamach „Głosu" zagadnienie winy Mierosławskiego i możliwości jego rehabilitacji[1]). Poniżej cytuję dosłownie te uwagi Nowaczyńskiego, do których później trzeba będzie mi powrócić:

„Na całem życiu wodza powstania wielkopolskiego z roku 1848 zaważył jeden zarzut, który go przygniatał, prześladował w ciągu jego całego burzliwego conquistadorskiego, awanturniczego, ale bądź co bądź skroś ofiarnego i hieroicznego żywota rycerskiego." ...„pozwolimy tu w nowem świetle postawić właśnie tę jego pierwiastkową winę, która dokładnie i po prokuratorsku została stwierdzoną przez spółcześników Guttrego i Mottego, a tak surowo osądzoną przez nam współczesnych M. Wierzbińskiego i Rakowskiego".

„Crimen zwycięzcy Prusaków pod Miłosławiem polegał na tem, że Mierosławski, znalazłszy się w r. 1846 po pierwszej nieudanej rewolcie, z 254 więźniami w berlińskim Moabicie, pierwszy zaczął „śpiewać" i wsypywać tak siebie samego jak i innych, jako świadomych spiskowców i niepodległościowców. Wprawdzie Mierosławski swoje zeznania potem cofnął, ale oburzenie wśród współwięźniów przybrało tak drastyczne dlań rozmiary, że nie oszczędzono mu epitetów zdrajca i Judasz. Pod tak potwornem podejrzeniem przeżył Mierosławski omal cały rok, broniąc bardzo odważnie i zaciekle swego poglądu i swej metody zeznań; wszelkie „wyłgiwanie się" uważał za ubliżające i miał rzekomo obowiązek przyznawania się do wszystkiego co zaszło, gdyż tylko w ten sposób manifestuje się światu i Europie bezwzględną dążność Polaków do niepodległości i wolności. Inni natomiast, i to omal wszyscy, przyjęli jako taktykę obrony wypieranie się wszystkiego, tembardziej, że do niczego właściwie nie doszło prócz znanego incydentu na moście Chwaliszewskim. Aczkolwiek więc potem zeznania swe z pierwiastkowego śledztwa Mierosławski cofnął, to jednakże podczas monstre-procesu wygłosił wspaniałą mowę, broniącą dążenia do niepodległości, znów winę biorąc na siebie i swoich."

„Wyrok sądu berlińskiego dnia 2 grudnia 1847 r. ogłoszony, wypadł... całkiem groźnie, gdyż większość skazaną została na lat 6, 8, 10, 20, (Karol Libelt) na 25, na dożywotnią fortecę, kilku zaś na śmierć, a wśród nich na pierwszem miejscu Mierosławski. Już ta surowość wyroku powinna było otworzyć oczy Guttremu i wpłynąć łagodząco na jego zajadłość."

„Kilkudziesięciu więźniów z Moabit zostało całkiem uwolnionych, między nimi młody, lat 22 liczący Bogusław Łubieński z Kiączyna, syn Konstancji Łubieńskiej z Marcelina pod Poznaniem. I oto w związku z tym młodym człowiekiem sprawa winy Mierosławskiego może teraz dopiero po 90 latach oświetloną być jeszcze z innej strony, odciążając mocno wodza zwycięzcę z odpowiedzialności za jego taktykę w zeznaniach, kolidującą z taktyką reszty to jest 254 współuwięzionych. Wyjaśnić dziś bowiem będzie można, kto wpłynął, względnie kto mógł wpłynąć na taką, a nie inną taktykę przyznawania się Mierosławskiego do zbrodni stanu i tem samem na ryzykowanie na demonstrację, na narażanie wszystkich i każdego z osobna na ciężkie kary ze śmiercią włącznie i to wszystko za czyny ostatecznie nie popełnione, skoro samo powstanie nie doszło do skutku."

Tym kimś jest, zdaniem Nowaczyńskiego, Adam Mickiewicz, przyjaciel Konstancji Łubieńskiej, do którego zwróciła się stroskana matka z prośbą o radę w sprawie uwięzionego syna Bogusława. Wynikła stąd wcale ciekawa korespondencja, którą Nowaczyński w wyjątkach cytuje. Twierdzenie swoje opiera Nowaczyński na analizie dwuch listów, napisanych w tej sprawie przez Mickiewicza do Łubieńskiej, mianowicie listu z dnia 26 listopada 1846 r.[2]) i listu z dnia 18 października 1847 r.[3]). Bliżej obchodzi nas tutaj list drugi, w którym Mickiewicz, doradzając więźniom zeznawanie prawdy i szczerą spowiedź, pisze:

„„Przewidywałem trud Twój w interesie, o którym piszesz, przewidywałem opór. Boję się przeczuć, o ile są winni. Chcieliby koniecznie wmówić w siebie i w drugich, że są bohaterami. Wstręt do spowiedzi, bez której niemasz szczerości, nie ma postępu, okrywają wybiegami, uciekają się do praw pozytywnych i do stosunków miejscowych. Na to nie ma sposobu. Jeśli zrobiłaś coś mogła, resztę zostaw Opatrzności. Ma ona środki wyciśnięcia prawdy z człowieka, jeżeli on dobrowolnie do prawdy podnieść się nie chce."

„Zależało wszystko od przyjęcia idei. Idea prawdziwa dobrowolnie wzięta, rośnie i daje środki dźwigania człowieka. Gwałtem ją wrzucać nie godzi się. Dla tego pismo tobie powierzone zachowaj u siebie i nikomu niepotrzebnie nie komunikuj."

Pismem, o którem Mickiewicz w tym liście wspomina, jest odezwa do „więźniów Stanu na Sądach Berlińskich w roku 1847, gdzie widział w obronie charakter niewłaściwy, uwłaczający świętej sprawie narodu". (Objaśnienie Konstancji Łubieńskiej, drukowane wraz z odezwą za powyższym listem). Odezwę poniżej cytuję w całości, mimo, że podał ją w wyjątkach codopiero Nowaczyński, ponieważ dokladna analiza jej będzie później potrzebna:

„Powinniśmy uważać za łaskawe zrządzenie Opatrzności, że proces nasz, w którym zadanie moralne, pytania istotne, tyczące się narodowości i ducha, goreją nad pytaniami prawnemi, toczy się przed rządem Monarchy znanego stąd, że on swoje samoistne (selbstständige) uczucia moralne wyżej stawi nad wszystkie względy interessów czasowych i polityki codziennej. Stajemy przed sędziami uczciwymi i światłymi i nawet bezstronnymi, o ile może dla nas bydź bezstronnym, w sprawie o narodowość, człowiek obcego narodu.

Jeżeli mówimy, że jesteśmy obcym narodem, nie jest to wyraz niechęci ku narodowi niemieckiemu, nie jest to gniewliwa protestacja. Jest to prostem objawieniem prawdy. Wszystko tu dla nas obce. Język, którym nas od kolebki uczono modlić, rozmawiać z Bogiem, którym nam opowiadano biedy domowe i nieszczęścia narodu, którym uczono nas rozmawiać z przodkami naszymi, jest obcy sędziom naszym. Wychowani i wykarmieni jesteśmy w tradycyi narodowej obcej sędziom naszym. Przynieśliśmy na świat w duchu naszym obowiązek dla narodu, którego rozległość, żeby poznać, trzebaby aż w głąb ducha naszego zajrzeć i w naszem położeniu postawić się.

Te wszystkie obowiązki zawierają się na teraz w jednym obowiązku. Tym obowiązkiem jest dla nas, ciągnąć dalej żywot wielowiekowy narodu naszego. Nie od nas zaczął się obowiązek leżący na narodzie polskim, nie na nas skończy się.

Niema pełnego życia narodowego, bez samoistności narodu. Musieliśmy żądać tej niepodległości, gotowi byliśmy walczyć za nią i zginąć. Zostaliśmy zwyciężeni. Bóg niedał nam tych wielkich przymiotów, jakie są konieczne zbawieniu narodu. Przymiotów, jakie miał Waszyngton, Czarnecki i wielki Elektor Brandenburski. Bóg żadnemu z nas niedozwolił być bohatyrem; a do wskrzeszenia narodu, trzeba było być więcej niż bohatyrem. Trzeba było mieć na to wyraźne namaszczenie Boże; tegośmy nie mieli. Zwyciężeni jesteśmy. Bóg widział czystość zamiarów naszych i daje nam w duchu pociechę, tem zapewnieniem, że wtenczas kiedy wycierpiem, on obiera sobie inne narzędzie godne swoich zamiarów. My drogę gotowali następcy i Zbawcy naszemu.

My jako narzędzie nieodpowiednie celom opatrzności, złamani jesteśmy. Jako żołnierze nieszczęśliwi, zwyciężeni jesteśmy. Jesteśmy Jeńcami wojennemi (Kriegsgefangene). — Pozostaje nam odezwać się z tego stanowiska do sędziów naszych. Charakter sędziów moralny i nadzwyczajność sprawy, daje nam nadzieje, że sędziowie poznają nadzwyczajność swego położenia i zdobędą się ze swojej strony na czyn nadzwyczajny, którego pod innym królem, w innym czasie, niepodobna byłoby wymagać, a którego teraz mamy prawo oczekiwać. Mamy nadzieję, że sędziowie nasi, podnosząc się nad martwą literę prawa i wchodząc całkiem w duchu sprawy, postrzegą się, że niesą w tej chwili zwyczajnym trybunałem applikującym prawo, ale że są z woli Opatrzności, wielkim i pierwszym sądem przysięgłych, wielkim Juri rodu niemieckiego, wyrzekającym wedle duszy i sumienia (en-leur-ame et conscience) o losie Polaków. Że na wyraz takiego Juri zwrócone są oczy niemiec i świata, że sędziowie widząc w nas Jeńców Wojennych (Kriegegefangene) zwyciężonego narodu obcego, uznają siebie za niewłaściwy sąd (incompetent) do sądzenia nas, i jako Jeńców Wojennych poleca nas Opiece Monarchy, naturalnego Wodza siły zbrojnej zwyciężców naszych. W tym charakterze Jeńców wojennych stać będziemy zawsze przed sumieniem Sędziów naszych, przed opinją publiczną. W tym charakterze staniemy przed historyą. Od litery martwej prawa odwołujemy się do ducha narodu niemieckiego i do serca króla, które serce jest w ręku Boga".

Należałoby, zdaniem mojem, sądzić, że było życzeniem Mickiewicza, by odezwa, jako przeznaczona dla więźniów w Moabicie, znalazła się w ich rękach, lub przynajmniej w ręku tych z nich, którzy przyjęliby dobrowolnie ideę Mickiewicza. Nowaczyński natomiast sądzi, że końcowa uwaga listu zaleca Łubieńskiej ukrycie i zatajenie orędzia.

Nowaczyński podaje, że Łubieńska zdecydowała jednak „orędzie Wieszcza do więzienia przemycić i na odpowiedź czekać". Orędzie przesłała na ręce Libelta, który odpowiedział natychmiast. W liście jego, opublikowanym przez K. Łepkowskiego, a przytoczonym w urywkach przez Nowaczyńskiego, czytamy m. in.:

„Gdyby się ktoś dokonanego czynu zapierał, który dla wyzwolenia ojczyzny dopełnił, byłby podły, gdyby się z tego czynu, który mu powinien być cnotą, chciał uniewinniać. Zrobiłem moją powinność, to byłaby jego obrona. W obecnym wypadku do czynu nie przyszło, było tylko tajne jego przygotowanie. Do czegóż więc ma się przyznawać? Do tego, czego nie zrobił? Do tego, iż coś chciał zrobić. A za co, to jest samą chęć, prawo śmiercią karze? Mojem zdaniem, byłoby takie przyznanie ze względu na siebie głupstwem, ze względu na kraj własny, do którego moja osoba należy, — lekkomyślnem jej szafowaniem, ze względu na innych — nierozsądną chełpliwością. Chełp się z tego coś zrobił, ale nie z tego, coś chciał zrobić. Ale takie przyznanie się byłoby nawet grzechem, bo każdy wstępujący w progi więzienia wstępował w nie z obowiązkiem, z przysięgą nie wydania niczego. Przysięgę tę tylko powstanie samo rozwiązywało, a żadne inne względy rozwiązać jej nie mogły. Czyż to u człowieka słowo uroczyste, przysięga złożona braciom i ojczyźnie, niema mieć żadnej wartości? Kto ją złamał ze słabości, ze strachu, zbłądził, zgrzeszył, ale darują mu ten grzech, bo nie wszyscy bohaterami, ale kto ją chce złamać z namysłem, w moich oczach podły, głupiec i zdrajca jest...". „I my dlatego, że nas połapali przed czasem, mamy wszystko wyśpiewać jak baby?..." „I cóż to nam każą robić owi ludzie z zagranicy? oto przyznaj się, wołają, a potem udajcie się do łaskawości szlachetnego monarchy, on was skazanych na śmierć lub wieczne więzienie, w dobroci swej ułaskawi. Nie wiem, jak was nazwać, was co nam tak radzicie, bo niewiem, czy się waszej głupocie, czy waszemu błazeństwu mam dziwić"... Ale, gdy nam radzicie: dajcie się na śmierć skazać dla sławy, a potem żebrzcie wolności i łaski u tego, co wam tę wolność wydarł i was gnębi, — gardzę wami, tchórze doradcy".

„Pytanie teraz", pisze Nowaczyński, „czy Mierosławski znał to orędzie Mickiewicza przed swojemi zeznaniami, czy nie znał?... Jeżeli znał i według tych instrukcyj i wskazań postępował, w takim razie część odpowiedzialności z niego za „sypanie" siebie samego i współwięzniów spada".

„Przykre jednak pomyśleć", konkluduje Nowaczyński, „że atmosfera nieufności w społeczeństwie poznańskiem i odium, z jakiem do niego się odnoszono (może niesłusznie) musiało jednak negatywnie wpłynąć na nieodzowne w czasach rewolt skonsolidowanie się narodowe, następnie zatamowało współakcję w Galicji i wreszcie przyczyniło się do sparaliżowania „woli zwycięstwa" u tego bądź co bądź wysoce uzdolnionego dowódcy".

Poniżej postaram się odpowiedzieć na pytanie Nowaczyńskiego i w związku z tem wyjaśnić kilka szczegółów, związanych z tak zwaną „winą" Mierosławskiego.

I.

Obszerne swe zeznanie, w którem przedstawił plan i organizację oraz obciążył współuczestników powstania, złożył Mierosławski według Rakowskiego[4]) jeszcze w pierwszej połowie 1846 r. („zdaje się w czerwcu"), według Kieniewicza[5]) w trzy miesiące po swem uwięzieniu, w maju 1846 r., jeszcze w kazamatach cytadeli poznańskiej. Termin ostatni jest, zdaniem mojem, prawdopodobniejszy, bo Mierosławski[6]) sam podaje, że „do końca maja... ustalił w sumieniu swojem plan związkowej obrony", a według Guttrego[7]) już w maju 1846 r. przedłożono w Sonnenburgu Kosińskiemu zeznanie Mierosławskiego. Odezwa Mickiewicza, wysłana z Paryża dnia 18 października 1847 r., najrychlej mogła dotrzeć do Berlina i do wiadomości więźniów moabickich pod koniec października, lub w początku listopada 1847 r., a zatem mniejwięcej półtora roku po złożeniu zeznania przez Mierosławskiego, ba nawet po wygłoszeniu sławnej jego mowy[8]) przed sądem berlińskim w dniu 5 sierpnia 1847 r. Z zestawienia dat powyższych wynika ponad wszelką wątpliwość, że Mierosławski nie mógł znać odezwy Mickiewicza przed złożeniem swego zeznania, ponieważ jej wtenczas jeszcze nie było. Na tej podstawie musimy niestety odrzucić nęcącą koncepcję Nowaczyńskiego, skłonnego przyjąć, że część odpowiedzialności za „sypanie" siebie i współwięźniów spada z Mierosławskiego i obciąża Mickiewicza.

[1]) Glos, Rok V, nr. 17.

[2]) Nieznane listy Adama Mickiewicza do Konstancji Łubieńskiej. Z autografów wydał i wstępem poprzedził Ludwik Posadzy. Poznań, 1924. List II. tego zbioru, str. 83.

[3]) Listy śp. Adama Mickiewicza do pani Konstancyi. Poznań. 1863. List V. tego zbioru, str. 16.

[4]) Rakowski Kazimierz Dr.: Powstanie Poznańskie w 1848 roku. Lwów, 1900.

[5]) Kieniewicz Stefan: Społeczeństwo polskie w Powstaniu Poznańskiem 1848 roku. Warszawa, 1935.

[6]) Mierosławski Ludwik: Powstanie Poznańskie w roku 1848. Paryż, 1852.

[7]) W przededniu wiosny ludów. Wspomnieni Aleksandra Guttrego z r. 1846—1848. Wydał i przedmową opatrzył Maciej Wierzbiński. Wilno, 1913.

(Ciąg dalszy ze str. 1-ej)

NACJONALIZM I KATOLICYZM

Wszystko, co mówię nie zmienia ani istnienia problemów społeczno - gospodarczych, ani nie neguje naglącej potrzeby przebudowy gospodarczej państw, jako organizacji życia narodów w czem udział jest obowiązkiem katolików. W tej jednak chwili nie wchodzę w szczegóły fizycznych form życia społecznego, zwracam tylko uwagę na bezdroża, jakieby mu groziły przez stawianie tych spraw na niewłaściwem miejscu.

Dla miłości bliźniego należy pracować ze wszystkich sił, aby mu dostarczyć chleba, ale miłości tej nie można opierać i nie wolno jej rozbudzać zrozumieniem wzajemnego interesu i wygody. Otwieranie tych perspektyw, czy dobywanie ich z podświadomości jest zarówno zbyteczne jak szkodliwe. Zamiast tego należy uczyć się miłości bliźniego od miłości braci, mężów, żon, rodziców, dzieci, domu własnego i narodu które są godne starań i uczucia przed wszystkiemi innemi. Bez tej naturalnej nauki wszelkie miłowanie ludzkości stanie się pustą doktryną, a wszelkie międzynarodówki katolicko - ekonomiczne doczekaćby się mogły tylko losu marksizmu i innych międzynarodówek, opartych na przesłankach materjalistycznych. O ileż trudniej byłoby wtedy odbudowywać w sercach wiarę chrześcijańską i ze śmiecia obierać jej czysty ideał.

Że istnieją zakulisowe machinacje, aby w takim czy innym kierunku wypaczać intencje idei katolickiej, na to mam swoje obserwacje, których tu przytaczać ani czas ani miejsce. Zresztą wolno każdemu uczynić mi zarzut, że walczę z wiatrakami. Jeśli tak jest istotnie, przyjmę ten zarząd z radością. Pragnąłbym w każdym razie, aby się tu nasze prace wyraźnie od pozorów nawet takich nieporozumień odcięły.

Zresztą nie wyciągam z tego zbyt poważnych wniosków na przyszłość. My, katolicy i Polacy, nie damy sobie wydrzeć ani ideału katolickiego dla rzekomego interesu narodowego, ani ideału narodowego dla rzekomego interesu katolickiego, i nie damy sobie nikomu głowy zawracać, że przez rozbijanie naszych serc na dwoje, którąkolwiek z tych idei umocnimy.

Jakiż — według tego cośmy wyżej powiedzieli — jest stosunek katolicyzmu do państwa?

„Kościół" sam przez się nie jest ideą, jest nią jedynie i jest wielką ideą, jako symbol zrzeszenia braci w Chrystusie, jako święty kościół powszechny, a więc stać się tym symbolem może tylko przez słowne, czy myślowe dopełnienie: katolicki (rzymski), tak jak dla innych mogą być ideami kościoły anglikańskie, ewangelickie, prawosławne czy mahometańskie. Tak samo „państwo" stać się może symbolem idei przez dopełnienie „jakie", to znaczy „czyje": a więc np. państwo polskie, czyli Polaków, czyli Polska. — Idea nadaje treść, dla której forma jest racją bytu.

Z tego wynika, że bezpośredniego stosunku katolików do państwa niema. Jest tylko stosunek pośredni, z którego wynikają obowiązki katolików wobec Państwa, jako Polaków, i Polaków, jako katolików. Ludzie ci są równocześnie członkami dwu zbiorowości, złączonych w dwu różnych ideach. Możemy mówić o bezpośrednim stosunku obu tych idei do siebie, ale nie jednej z nich do formy i narzędzia drugiej, która w dodatku wcale nie pokrywa się z zakresem pierwszej. To są logiczne skoki konika szachowego. Zakres pojęcia państwa wypełnia naród. I dlatego, że naród ten jest narodem katolickim, obok idei narodu, właściciela tego państwa, staje idea katolicka przez ten naród wyznawana. Z tego pośredniego stosunku wynikają oczywiście wszelkie wnioski, że Polacy dbać powinni o to, aby państwo ich było ideałem państwa katolickiego, że katolicy powinni dbać o siłę państwa dla dobra swego narodu — i jakie kto jeszcze inne zechce wyciągnąć. Wszystko to jednak są wnioski uproszczone, złożone z dwu oddzielnych części, połączonych pojęciem narodu. Jedynym bezpośrednim stosunkiem katolicyzmu jest stosunek kościoła, jako jego formy prawnej, do państwa jako do prawnej formy bytu narodowego, a przedmiotem tego stosunku muszą pozostać kwestje prawne tego rodzaju, jak prawo kościelne i cywilne, czy konkordat.

Z tego samego także wynika że **niepodobna mówić o pracy dla państwa, jeśli się tego nie pojmuje jako pracy dla narodu.**

Można nawet mówić o kształceniu osobowości, ale jako przedstawiciela i członka swego narodu, jego cech charakterystycznych, tradycji i kultury, jako indywiduum, będące emanacją indywiduum zbiorowego, — można mówić o kształceniu i wyszlachetnieniu tych cech, bez których, jak już choćby na innych polach, od hodowli do sztuki, stwierdzono: pojęcie indywiduum jest absurdem.

*

Tylko wróg Chrystusowej idei miłości bliźniego mógłby negować prawo miłości własnego narodu przed innemi, — tylko ślepiec może nie widzieć, że idea tej miłości zwycięsko ogarnia świat, — tylko szaleniec mógłby sobie wyobrażać, że jej kordjalnej sile zdoła przeciwstawić spekulatywne doktryny.

Oczywiście jednak, o ile samo to prawo jest święte, a idea wielka i szanowna, bo korzenią w boskich prawach natury, — o tyle zgoła rozmaite mogą być jej szczegółowe interpretacje, wnioski z niej wysnuwane i zastosowanie praktyczne...

I tu zaczyna się właściwy teren pracy dla narodu. W charakterze sprzymierzeńca idei narodowej, bo w charakterze jej mentora i wychowawcy, w jednych z nią duszach zamknięta idea katolicka, dbać powinna o to, ażeby walka jej o byt prowadzona była w sposób godny chrześcijańskiego rycerza, w granicach konieczności, poza którą jest tylko miłosierdzie, — i oto, aby na byt ten zasługiwała sobie i odpłacała go rozkwitem najszlachetniejszych cech narodu w duchu nauki Chrystusowej.

Tradycje historyczne nacjonalizmu polskiego i niemieckiego są tak różne — z braku czasu nie przeprowadzam para-

Przeczą tezie Nowaczyńskiego pozatem jeszcze szczegóły zawarte w odezwie Mickiewicza, niezgodne z poglądami Mierosławskiego i jego postępowaniem. Mimo zgodności poglądów obu mężów na uwłaczający sposób „wyłgiwania się“, motywy do jasnego postawienia sprawy u obu są zupełnie odrębne: u Mickiewicza chodzi o rodzaj ekspiacji przez spowiedź szczerą, u Mierosławskiego o postawienie sprawy Polski przed forum Europy, Mickiewicz zaleca odwołanie się do łaski i serca króla Fryderyka Wilhelma; jakże inaczej brzmi końcowy akord mowy Mierosławskiego z dnia 3 sierpnia 1847 r., której odnośny rozdział[9]) cytuję.

„Ani się więc Panowie myślimy żalić na dolę naszą. Jest to dola wszystkich zwyciężonych. Jednak, chociaż nic przeciw temu nie mamy, aby krzyż nasz stał wystawiony na wszystkie pioruny zachmurzonych niebios i na wszystkie gniewy zaślepionej ziemi, póki tchu nam starczy nie dozwolim krukom oszczerstwa na nim siadać, bo jednemu oszczerstwu precz od naszej męki“.

A w ostatniem słowie oskarżonego, w mowie z dnia 5 sierpnia 1847 r., Mierosławski wołał:

„Najlichsze, najspokojniejsze stworzenie, które chcemy zdeptać, opierać się będzie zniszczeniu i zużyje ostatnich swych sił do uwolnienia siebie ukąszeniem nogi duszącej je; a Wy chcecie, aby cały naród, aby olbrzym żywo w ciasnej trumnie pochowany, nie miał wstrząsać do ostatniego tchu deski przygniatającej go?“ a wreszcie:

„...jeżeli w Polsce ciągłe sprzysiężenie się znajduje, to zależy ono od nieznośnego i nieprzerwanego niezadowolenia, od czasu, jak ludzkim wybrykom podobało się rozłączać, ćwiartować, niszczyć, co Bóg w swoich najwyższych wyrokach złączył, umocnił, nazwiskiem niezniszczonem P o l s k i n a r ó d mianował. Nie my wywołaliśmy kongresy w Petersburgu, w Wiedniu i w München-Graetz; nie my pochowaliśmy tę zniszczoną Polskę pod układami niepodobnemi do wykonania, przeto nie my powinniśmy odpowiadać za przykrości, w które was wprawiają jej cierpienia; nie pociągajcie ofiary do odpowiedzialności za trudy i niezgrabność kata; przedewszystkiem nie mniemajcie, że uspokoicie kurcze tej matki Nioby, gdy kilka jej synów więcej skażecie na śmierć“.

Zgodnie ze swojem sumieniem i wypowiedzianemi poglądami, Mierosławski, skazany na utratę szlachectwa, konfiskatę majątku i ścięcie toporem, o łaskę króla pruskiego nie żebrał, nawet gdy ten potajemnie zalecił mu postawienie wniosku o ułaskawienie (H. Schmidt[10]).

Wiemy już z listu Libelta do Konstancji Łubieńskiej, jak przez usta tego ostatniego zareagowali więźniowie moabiccy na odezwę Mickiewicza. Zachowując milczenie w myśl złożonej przysięgi, do udziału w spisku nie przyznawali się. Nie dowierzając ani królowi ani sądom pruskim, z oburzeniem odrzucili propozycję Mickiewicza odwołania się do łaski i serca króla.

Możnaby stąd wysnuć wniosek, że odezwa Mickiewicza nie miała wogóle wpływu na umysły więźniów i ówczesnego społeczeństwa polskiego. Wniosek taki byłby zapewne niesłuszny. Nie możemy bowiem przypuszczać, by głos tak poważanego człowieka, jak Mickiewicz, oświetlający krytycznie niewłaściwość obrony, stosowanej przez większość więźniów moabickich, miał przebrzmieć bez echa. Na zmianę ich stanowiska w tej sprawie było zapewne już zapóźno. Proces, który rozpoczął się 2 sierpnia 1847 r., skończył się bowiem 17 listop. 1847 r.[11]). Może głos Mickiewicza wpłynął jednak łagodząco na zbyt radykalne ustosunkowanie się niektórych więźniów moabickich wobec Mierosławskiego z powodu jego zeznań i demonstracyjnego przyznawania się do przygotowanego powstania.

Dla nas przypomniana przez Nowaczyńskiego odezwa Mickiewicza ma ponadto wartość cennego dokumentu, świadczącego o tem, że już w owych czasach wypieranie się udziału w spisku nietylko Mierosławski uważał za niewłaściwy i uwłaczający sposób obrony.

(Dok. nast.)

[8]) Défense de M. Louis de Mierosławski prononcée 5 aout 1847 devant la cour criminelle de Berlin. (Extrait de la Réforme).

[9]) Mowa Mierosławskiego, miana na posiedzeniu sądowem dnia 3 sierpnia 1847. Lipsk, 1847.

[10]) Schmidt H.: Die polnische Revolution des Jahres 1848 im Grossherzegtum Posen. Alexander Duncker Verlag. Weimar, 1912.

[11]) Akta i czynności sądowe tyczące się procesu Polaków oskarżonych w roku 1847-ym o zbrodnię stanu. Nakładem M. Simona w Berlinie 1847.

Stanisław Odrowąż, Poznań

Jak prowadzić teatr bez subwencyj?

Za lat choćby 50, historyk moralista i historyk obyczajowości nazwie naszą obecną polską rzeczywistość okresem wyuzdanej żebraniny. Żałuję ogromnie, że, niestety, najkapitalniejsze materjały dowodowe ulegną egzekucji, mianowicie że akta B. B. mają ulec spaleniu. Jakaż to szkoda! Znowu prześcigną nas obcy! Bo oto Budapeszt ongiś, a dziś Paryż chlubią się pomysłową organizacją żebraków. Zwłaszcza Paryż, który posiada jedyny na świecie organ „Gazetę Żebraków“.



Robert Boelke
Dyr. Teatru Polskiego w Poznaniu

Lecz czemże są te związki lokalne — wobec naszej niechlubnej pamięci B. B., który był ogólnopolską, zetatyzowaną na szeroki zakrój organizacją powszechnej żebraniny organizacją uprawiającą swój proceder z krzywdą dla zawodowych dziadków i babek proszalnych i spodkościelnych. (B.B.W.R. ich nazwa, co się wykłada: Brali, Brali Wszyscy Razem!)

Całe państwo przemienia się w jakiś niesamowity „Caritasverband“. Co chwilę powstaje jakaś Caritasver-banda, liziłapów, skacząca, skomlająca, kwicząca, błagająca, wyciągająca nieczyste łapy po skarbowe złoto. A to C. Z. M.W.S., a to C. K. S. M. W., a to D. M. P., a to P. A. L. (ich djabli!), a to T. K. K. T., a to Z. S., a to Z. P. O. K. — i cały ten alfabet skrótów.

Nie chodzi zresztą o to, aby skarbowe podatnicze grosze nie miały z powrotem wracać do społeczeństwa. Lecz nie może się to dziać w sposób deprawujący człowieka, w sposób „z rączki do rączki“, wykluczający wszelką kontrolę.

Niech państwo łoży na PAL, ale niech ten system dawania nie fabrykuje nam Kadenów!

Do czego prowadzi taka zetatyzowana, niekontrolowana żebranina, widzimy na żelaznym (czytaj: zardzewiałym) repertuarze T. K. K. T.

Całym efektem tego przymusowego kartelu, poza stworzeniem licznych synekur, jest 800 000 zł długu!

Nie chcemy się dłużej nad tem zatrzymywać. Do sprawy tej wkrótce przyjdzie nam powrócić.



Maksymiljan Piotrowski
Dyr. Teatru Polskiego w Poznaniu

Tu pragniemy wskazać tylko, że ten nieszczęsny pomysł etatyzowania teatrów niczego pewnych ludzi nie nauczył. Przeciwnie, pragnie się zetatyzować resztę teatrów niezależnych.

Te zamysły nie dają spokoju pewnej grupie osób i w Poznaniu. Na wszelki sposób, najbardziej niegodziwemi, niemoralnemi środkami pragnie się tu rozciągnąć T. K. K. T.

Cel jasny i przejrzysty: Dlaczego? Dlatego, aby zniszczyć, zlikwidować, zrujnować Teatr Polski. — Dlatego, że jest to teatr z prawdziwego znaczenia, jeden z nielicznych już dziś w Polsce teatrów niezależnych, a jeden z dwu teatrów polskich, którego kierownictwo ma abicje artystyczne, a jeden jedyny z teatrów w Polsce, które te ambicje realizuje, który wie czego chce, który powiedział sobie: w każdym sezonie najmniej 10 sztuk swoich i obcych prima sorte i, o dziwo, przyrzeczenia tego dotrzymuje! Pozatem — jedyny to teatr, który pracuje bez subwencyj!

Są fundusiki dla skartelizowanej farsy warszawskiej, otrzymuje pieniążki operetka pani Waydowej, otrzymują złocisze inne teatry warszawskie, otrzymuje Kraków, Wilno, Bydgoszcz nawet Toruń — i to nie mało! Jeden tylko Poznań nie potrafi się zdobyć na żadną pomoc dla swego teatru, choć przecież Teatr Polski jest reprezentacyjnym teatrem Poznania. Wzniośl go „Naród Sobie“, ale go popierać nie chce.

Miasto nasze potrafi subwencjonować pajaców Działyńskich, daje pieniążki na bajeczki w tym gmachu opowiadane, na pancerniki domowe, na wieczo-urynarki towarzyskie tamże się odbywające, a od tylu lat nie może jakoś znaleźć — nie pieniędzy, bo te są, tylko dobrej woli, a raczej trochę rozumu, aby sypnąć na Teatr Polski.

Dlaczego trochę rozumu?

— Bo proszę! Otrzymuje Teatr Polski 30 000 zł subwencji. To nie najgorzej, zdawałoby się. Owszem, nie byłoby najgorzej, gdyby nie ów mankamencik mentalny szanownych patryutracjaszy i kulturdonatorów: otc 27 000 tej subwencji miasto stante pede przelewa sobie do innej pozycji, noszącej tytuł: czynsz za domy miejskie.

Z jednej kasy w y p ł a c a 30 000, a do drugiej równocześnie p r z e k a z u j e s o b i e 27 000 tytułem opłat za używanie gmachu teatralnego, za opał, za wodę (choć te przecież szanownym włodarzom Poznania chyba nie brak), — za straż pożarną itp.

Pokażcie mi bardziej żałości godzień kwiatek biurokretyński! Wszystkim satyrykom, kpiarzom, szopkarzom, humorystom, karykaturzystom, feljetonistom odstępujemy zupełnie bezpłatnie ten niesamowity pomysł — temat: Jak Poznań udziela subwencji swemu teatrowi. — Zgóry liczymy na wdzięczność.

Lecz żart na stronę. Sprawa ta jest groteską sama w sobie, bez potrzeby zwracania na to uwagi.

Pytamy czynników decydujących — dlaczego tak jest? Czy oddanie Teatrowi Polskiemu gmachu — opalonego, oświetlonego i nawodnionego spowoduje upadłość Poznania? Czy nie jest to obowiązkiem miasta, które się pragnie uważać za kulturalne?

Miasto, które inne dzielnice nazywają stolicą Beocji, powinno jednak mieć ambicję, aby wykazać, że nie jest ani Beocją, ani Abderą, ale, choć nie Atenami, to przynajmniej tylko ... Toruniem. Toruń bowiem potrafi dać swemu teatrowi, który posiada subwencji miesięcznej na 15 pełnych gaż — gmach i wszystkie inne świadczenia zupełnie darmo!

(Dok. na str. 4-ej)

leli, ale mniej więcej każdy może to sobie uprzytomnić — że takich rzeczy, jeśli idzie o szczegóły nietyle o samą ideę — nie można w żadnym razie na jednej stawiać platformie. Si duo faciunt idem, non est idem.

Oto są podstawy i perspektywy dla pracy dla narodu w Polsce pod względem ideowym. Na to jednak, by móc tę pracę wykonywać, nie można być oczywiście w stosunku do narodu renegatem, bo wtedy żadna praca wśród narodu, a tem samem i praca dla idei katolickiej nie byłaby możliwa. Wiem, że kościół jest i okaże się zawsze dobrą matką dla narodu, który przez wieki był tarczą jego i chrześcijaństwa i nie opuści go w potrzebie, ale okazując swym dobrym i wiernym synom współczucie i zrozumienie w ich największej tęsknocie duchowej: czucia się braćmi w narodzie, prowadzić ich będzie i czuwać nad ich duszą tak w pokoju, jak na polu bitwy. Nie mam też na myśli kościoła, ale przeciętnego człowieka: nas wszystkich.

Ale zadanie pracy na tem polu i współdziałania idei katolickiej z narodową w Polsce nie ogranicza się do tej sprawy wewnętrznej. Jeżeli bowiem kiedykolwiek mesjaniczne posłannictwo Polski miało realne podstawy, to ma je właśnie teraz.

Jedyna Polska zdolna jest przeciwstawić pogańskiemu światu w zasadach i praktyce ideę narodową, zespoloną i opartą na najsilniejszym gruncie katolickim. Jedynie tu urodzona i rozwinięta idea może i musi być taranem do rozbijania pogańskiej ideologji niemieckiej i innych fałszywych doktryn. Zahamować i zgnieść pogaństwo można tylko, przeciwstawiając mu wielką, katolicką ideę narodową, mającą zadatki uniwersalistyczne we właściwej, przyrodniczej rozbudowie uczuć, — nigdy zaś drogą mrużenia oczu na prawdy wewnętrzne duszy ludzkiej. Aby zyskiwać zaufanie mas, uczuć ich nie można zabijać. Trzeba niemi kierować, współczując i współdziałając z niemi. I nie można przeoczyć faktu i chwili, kiedy potrzeby ich serca są głębsze i silniejsze niż osobiste potrzeby materjalne. Aby rozbijać fałszywe doktryny, pasorzytujące na tych uczuciach, należy szczepić i kultywować wielką, szlachetną ideologję prawdy ludzkiej i boskiej.

Tyle co do pracy dla narodu na gruncie ideowym. Ale praca dla narodu, i przedewszystkiem dla narodu, sama przez się jest czynem chrześcijańskim. Budzi bowiem i krzewi poczucie solidarności, dotykając pierwiastków kordjalnych, — naturalnych, jedynie trwałych i jedynie zrozumiałych.

Kończę powtórzeniem, że niema pracy dla państwa bez pracy dla narodu. „Człowiek bowiem — jak stwierdza encyklika „Rerum Novarum“ — starszy jest niżli państwo, a również społeczność domowa jest logicznie i faktycznie wcześniejszą niż państwo“. — „Który zaś o swoich, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary i jest gorszym niżli niewierny.“ (Św. Paweł: list do Tymoteusza 1).

* * *

W toku dyskusji M. Pawlikowski, zapytywany, co rozumie przez naród, sformułował swój pogląd, ujmując go w ramy jakby deklaracji, którą przytaczamy:

1. Zespół ludzi, którzy odziedziczyli pewne wspólne cechy fizyczne i cechy duchowe, urobione długowieczną kulturą, tworzy w potocznem pojęciu dzisiejszem rasę.

Najmniejszą jednostką organizacji społecznej i jej podstawą jest rodzina. Pojęcie narodu jest rozszerzonem pojęciem rodziny. Naród jest to społeczeństwo, którego trzon stanowią ludzie jednej rasy, związani moralnie poczuciem wspólności i pierwszeństwa wzajemnych obowiązków wobec siebie przed obowiązkami wobec inych, poczuciem więzby organicznej z przeszłemi swemi pokoleniami i troską o pokolenia przyszłe.

Przy troskliwej baczności o czystość swej kultury i ideałów, o zdrowie własne, moralne i fizyczne, może naród asymilować jednostki obcej rasy, które jego narodowej kulturz uległy, a ideały jego przyjęły za swoje.

2. Każdy naród ma prawo do własnego państwa, stworzonego pracą, krwią i wysiłkiem jego przeszłych pokoleń w granicach, gdzie mieszkają jego członkowie i gdzie zachować zdołali swe dobra materjalne i kulturalne, o ile zaś nic zachowali ich, nie tracą praw do ziemi wtedy, kiedy im je odebrała przemoc lub podstęp.

Naród ma być jedynym właścicielem i gospodarzem swego państwa.

3. Jeżeli pewne części państwa, zbudowanego przez naród, zamieszkuje równo dawno w charakterze autochtonów w liczebnej większości, czy mniejszości z rdzenną ludnością zmieszana inna, mająca poczucie swej szczepowej czy narodowościowej odrębności językowej, obyczajowej, kulturalnej i wyznaniowej, ale zgodnie współżyjąca z resztą ludności w poczuciu nierozerwalnego związku w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości w jednem państwie, mająca te same ideały etyczne, — to ludność ta powinna mieć równe prawo bytu indywidualnego i wolność wszelkiego współzawodnictwa z resztą ludności, a pierwszeństwo przed obcymi w miarę zaufania, jakie wzbudza i pewności, jakie daje dla dobra całości. Ludności tej musi stać otworem droga do zupełnego zespolenia z narodem przez jej własne poczucie zupełnego braterstwa bez względu na wymienione różnice.

4. Wobec ludzi na terenie państwa nie będących członkami narodu, a posiadających wcześniej lub później nabytą przynależność państwową, obowiązywać powinna gościnność i równość praw obywatelskich pod następującemi warunkami: a) pierwszeństwa zaspokojenia potrzeb bytu członków narodu, b) pod warunkiem lojalnego poszanowania przez tych ludzi praw narodu, jego haseł moralnych i obyczajów c) pod warunkiem, iż zachowanie ich, obyczaje, kultura moralna i cechy indywidualne nie zagrażają demoralizacją i wykrzywieniem ducha narodu i atmosfery jego domu.



„Ul. Wysoka" Marjan Romała
(III nagr. na konkursie graficznym „Kurjera Pozn.").

(Ciąg dalszy ze str. 3-ej)

Jak prowadzić teatr bez subwencyj?

Nie będzie to jeszcze wiele. Przeciwnie, — zaledwie minimum.

Teatr Polski posiada jednak w swym dotychczasowym repertuarze, w czasie dyrekcji pp. R. Boelkego i M. Piotrowskiego pozycje, któremi może się chlubić. Nie chcemy ich wyliczać nawet katalogowo. Pragnę tylko, na dowód, jak poważnie pojmuje swoją rolę, wskazać na nadzwyczajną w Polsce artystyczną uczciwość, jaką traktuje przedstawienia szkolne.

Nie robi się tych spektakli zwyczajem innych teatrów, na kolanie, dla przybycia, dla obrzydzenia teatru do końca życia. Przeciwnie — obydwaj dyrektorzy, wychodząc z założenia, że w ten sposób wychowują sobie przyszłych widzów, wkładają w nie maximum wysiłku. Inscenizacja, reżyserja, gra — na najwyższym poziomie, tak, jak i dla tych starszych. Jest to tembardziej godne podkreślenia, że do każdego szkolnego spektaklu teatr dopłaca 100 zł a czasami i więcej! Nawet przy wypełnionym teatrze. Najlepsze to świadectwo. dla misji artystycznej Teatru Polskiego.

To wszystko jednak jest tem bardziej solą w oku dla pewnej grupy ludzi, którzy sobie z Teatru Polskiego zapragnęli zrobić mównicę polityczną dwa lata temu. Nie udało się — więc huzia! Wręcz nieprawdopodobne są kulisy tej macherki przeciwko Teatrowi Polskiemu. Nie chcemy tu tej brudnej sprawy przynajmniej teraz poruszać.

Narazie chodzi nam o jedno. Trzeci rok nowej dyrekcji w Teatrze Polskim w Poznaniu udowodnił niezbicie jedno, a mianowicie, że:

Mimo całej podziemnej roboty, mimo intryg, mimo braku wszelkiej pomocy moralnej i finansowej czynników do tego powołanych — można w Polsce — dziś — prowadzić duży teatr (64 osoby!) bez subwencji. Bez subwencji, a mimo to na naprawdę wysokim poziomie, w poczuciu spełniania misji artystycznej, przy doborowym i dobrze opracowanym repertuarze.

Jest to prawda krzepiąca. Nie jest więc tak źle. Jest więc kierownictwo, które było zdolnem tego dokazać!

Lecz, wracając ze stwierdzenia o charakterze ogólnym, znowu na teren Poznania, wyrażam pogląd, że Teatrowi Polskiemu należy się za to życzliwa opieka władz miejskich.

Domagamy się pomocy dla teatru, który najbardziej, najuczciwiej, najsumienniej na to zasługuje.

Mieczysław Pszon, Kraków

Sąd nad polskim charakterem narodowym[1])

Wykrycie podstawowych cech charakteru narodowego i określenie ich wpływu na historję, religję, moralność, życie zbiorowe i indywidualne itd. to nietylko problem naukowy czy historjozoficzny, ale zagadnienie istotne dla wszystkich ruchów społecznych i politycznych, a decydujące dla nacjonalizmu. Odpowiedź na pytanie, jak należy kształtować psychikę narodową, co z niej rugować, a co rozwijać, stanowic musi trzon i wskaźnik postępowania kazdej ideologji narodowej.

Dość szeroko rozpowszechniony przesąd, jakoby jednym z głównych przejawów nacjonalizmu była afirmacja bez zastrzeżeń wszystkich cech narodowych i płynące z niej, jako naturalne następstwo, apoteozowanie przeszłości, zbija najzupełniej zdanie największego w tej dziedzinie autorytetu — Romana Dmowskiego. Zasadnicze dla naszego światopoglądu dzieło: „Myśli nowoczesnego Polaka" zawiera nie co innego, tylko analizę i ostrą krytykę charakteru narodowego, wskazuje kierunek, w jakim dokonać się ma zmiana naszej psychiki. Czy ta zmiana się dokonała?

Zezwalając na nowe wydanie (przed dwoma laty) swej książki, Dmowski nie widział potrzeby wprowadzenia do niej jakichś modyfikacyj; to co było ważne 30 lat temu, niestety nie przestało być aktualne i dziś. Odzyskanie niepodległości nie wpłynęło bowiem w mniejszym czy większym stopniu na poprawę charakteru polskiego. A jeśli wpłynęło — to tylko — jak to wykazuje autor książki, będącej tematem niniejszej recenzji — ujemnie. Przywróciło bowiem prawo do życia tym wadom, o których wnioskując z historji niewoli, moglibyśmy powiedzieć, że zginęły bezpowrotnie.

> „Naród, który głęboko odczuł utratę swej niepodległości, który półtora wieku o niej marzył i rozpaczliwemi wysiłkami próbował ją odzyskać, który w doświadczeniach i cierpieniach niedoli wyidealizował swoje życie w wolności, otrzymawszy ją, wpadł w odmęt bezprawia, wszelakich niecnot i walk wewnętrznych."

Słowa Świętochowskiego nie są przesadą. Otwórzmy pierwszy lepszy dziennik. Znajdziemy ponury rejestr krzywd i niesprawiedliwości.

> „Cynizm przeżarł wszystkie komórki naszego życia... Postawilismy jako hasło prawo, ale to jest często tylko formułą... Uprzywilejowani mogą bezkarnie obchodzic prawo, zdobywać bez kwalifikacyj wspaniałe synekury, w okresie nędzy, bez pracy dorabiać się majątków, korzystać ze wspaniale zorganizowanego systemu protekcji politycznej, oszukiwać wierzycieli, wymigiwac się od karzącej ręki sprawiedliwości".[2])

Źródła dzisiejszego zła, „genealogji teraźniejszości" dopatruje się Świętochowski w ostatnich latach, poprzedzających upadek państwa, latach opromienionych działalnością Komisji Edukacyjnej, Konstytucji 3 Maja. Jego sąd o ludziach polskiego „Oświecenia" przewaznie nie jest nowy. Nowe jest potępienie w czambuł tego okresu naszych dziejów, w którym poza Kościuszką, nie widzi zadnego jasnego światła. Dokładna analiza autorów z ostatniego ćwierćwiecza XVIII w. i późniejszych, o tym okresie piszących, pozwala mu roztoczyć przed czytelnikiem ciekawy, ale smutny obraz moralnego upadku luminarzy ówczesnego życia religijnego, państwowego, kulturalnego. Ludzie, którzy Polską wtedy kierowali: byli albo wyzuci z wszelkich szlachetniejszych uczuć, gotowi za pieniądze dopuścić się największego łajdactwa, albo pozbawieni wszelkich kwalifikacyj intelektualnych, potrzebnych jednak do piastowania pierwszych w państwie urzędów.

Oto, jak charakteryzuje ówczesnych polityków Świętochowski:

> „Powołanie na tron polski saskiego pijaka i zdrajcę, wybór Poniatowskiego, utrzymanka Katarzyny, ślepa wiara w carową rosyjską i króla pruskiego, mianowanie przez sejm Czteroletni następcą tronu elektora saskiego bez zapytania się o jego zgodę, zupełna nieznajomość ludzi, stosunków i sieci dyplomatycznych — wszystko to wystawiało ówczesnym politykom, o ile nie byli przekupieni, świadectwo dziecinnej naiwności."

Ale odpowiedzialnością za upadek nie można obciążać tylko tych nieudolnych, czy zepsutych władzą i zagranicznem złotem koryfeuszy ówczesnego życia. Winę ponosi także, a może głównie społeczeństwo, którego charakter nie pozwalał na protest stanowczy i skuteczny. A zasadnicze rysy tego charakteru, to

> „brak zmysłu politycznego, niezdolność organizacyjna, nieumiejętność ustawodawcza, ratująca się doraźnemi rozporządzeniami, rozstrzelenie dążeń, a nawet czynów w polityce zewnętrznej na dążenia i zabiegi jednostkowe, niesharmonizowane z innemi, wiązanie lub utożsamianie interesów i celów osobistych z publicznemi, uprywatnienie państwa, zdobywanie władzy dla dogodzenia osobistym ambicjom i potrzebom, nadawanie instytucjom i organom państwowym znaczenia czynników służby i narzędzi walki z przeciwnikami panującego stronnictwa, obsadzanie wszelkich stanowisk nie osobnikami najzdolniejszymi, lecz najposłuszniejszymi, uniemożliwianie lub utrudnianie społeczeństwu objawiania swej woli, gwałty i bezprawia, tolerowanie i nagradzanie występku, bałwochwalstwo służalcze, zamieniane na religję."

Te ujawniające się przedewszystkiem w życiu zbiorowem, ujemne cechy charakteru narodowego otrzymaliśmy w spadku po przodkach. Przez 150 lat niewoli przodkowie nasi nie korzystali wprawdzie z tego dziedzictwa, ale też nieuszczuplone przekazali nam. Jeśli my nie wyrzucimy z tej spuścizny przeszłości tego co czcze, zmartwiałe, niemające zastosowania do rzeczywistości, jeśli nie przebudujemy charakteru polskiego przez rozwinięcie w nim cech dodatnich, które swój najwspanialszy wyraz znalazły w postaciach Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Kościuszki, to nigdy nie staniemy się narodem pełnowartościowym, narodem wielkim.

To wniosek, do którego musi się dojść po przeczytaniu książki Swiętochowskiego. A o wielkości narodu nie zadecyduje zmiana rządu, zmiana formy organizacyjnej. „Istota przewrotu — pisał u progu naszej niewoli C. Godebski — zasadzać się musi na przekształceniu wewnętrznem jednostki ludzkiej, o ile tego nie ma, wszystko jest tylko przemijającą formą."

[1]) A. Świętochowski: „Genealogja teraźniejszości". Warszawa 1935. Rój.
[2]) „Goniec Warszawski" nr. 188 z 6 listop. 1935 r.

Marjan Łebkowski, Poznań

Muzyka i architektura

Architekturę nazywano kiedyś zastygłą muzyką. Było to utarte, zdawkowe wyrażenie; napotykane często w drugiej połowie XIX wieku, którą cechował zastój w sposobach wyrażania się sztuki budowlanej. Porównanie to, bardzo zresztą elastyczne i raczej przenośne, przyjmowane było z niemałem zastrzeżeniem, zwłaszcza przez prawdziwych znawców i wielbicieli zarówno muzyki, jak i architektury, — a to dlatego, że pierwsza góruje nad drugą pod względem bogactwa środków wyrazu oraz zdolności oddziaływania na ludzką wyobraźnię. Dzisiejsza krytyka architektoniczna, biorąc za punkt wyjścia nowoczesne budowle, poucza nas o tem, jaką rolę odgrywa w architekturze rytm, który stanowi duchową istotę tej ostatniej.

Jeśli Goethe stwierdził, że „nastrój, który wytwarza architektura, podobny jest do wrażeń, stwarzanych przez muzykę", to miał zapewne na myśli cuda gotyku, jak np. katedrę w Strassburgu lub inne monumentalne arcydzieła.

Na dnie jednak tego pozornie gołosłownego porównania spoczywa bardzo ciekawe zagadnienie pewnej ściśle określonej wspólnoty z muzyką, — podobieństwa, które możnaby przypisać sztuce architektonicznej wogóle, mając na uwadze jej wewnętrzną estetykę, pokrewną estetyce muzycznej.

Analizując pojęcie architektury i porównując ją z muzyką polifoniczną, dochodzimy do zupełnie konkretnego wniosku, który pozwoli nam wykazać cechy wspólne, właściwe jednej, jak i drugiej sztuce. Będą niemi: technika, pokonywanie prawa ciężkości, równowagi i oporu, matematyczne obliczenia, konsekwencja w symetrycznem rozłożeniu części i odległości, oraz przedstawianie form i stosunków w przestrzeni i czasie.

Istotne wspólne cechy architektury i muzyki polegają na tem, że obie sztuki mają do czynienia z abstrakcyjnem pojęciem proporcji i harmonji poszczególnych fragmentów całości i nie naśladują gotowych wzorów natury. Obie one oparte są na właściwościach, podlegających prawom fizyki (proporcjonalność i linijność), wskutek czego mogą być zaliczone do rzędu sztuk metafizycznych.

I muzyka i architektura mają w sobie linję i proporcję: pierwsza rozczłonkowuje czas, druga — przestrzeń. Różnica w sposobie naszego reagowania na działanie każdej z tych sztuk polega na tem, że formy i rozczłonkowanie dzieła muzycznego ujmujemy jedynie dzięki czynnemu współudziałowi pamięci, a cel i rytm pracy architektonicznej za pomocą bezpośrednich spostrzeżeń. Wspólną cechą obu tych sztuk jest rytm, czyli kolejna następczość składników konstrukcyjnych w jednakowych odstępach, niezależnie od tego, czy rozczłonkowują one czas, czy przestrzeń. (Jeśli chodzi o muzykę, — następczość ta sięga znacznie głębiej, co należy przypisać w dużej mierze rytmice falowań).

Przechodząc do obrazu samego rytmu, który i w muzyce i w architekturze występuje w prawidłowych i stałych odstępach czasu lub przestrzeni (interwałach muzycznych lub przestrzennych), możemy zaobserwować, że — tak jak większe dzieła muzyczne wybitnie są nacechowane powtarzaniem się przewodniego motywu w określonych odstępach czasu — tak samo dzieła architektoniczne związane są z symetrycznem rozłożeniem części w równych odstępach przestrzeni.

Muzyka i architektura związane są ponadto poczuciem harmonji, która polega na zachowaniu dokładnej proporcji poszczególnych składników (tonów w muzyce i rzeczy widzialnych w architekturze).

Zastanawiając się nad pojęciami konsonansu i dysonansu w muzyce, które powstają dzięki różnorodnym liczbowym stosunkom ilości drgań, i zestawiając je ze ścisłemi (idealnemi) i nieścisłemi proporcjami poszczególnych części budowli, dochodzimy do wniosku, że fałszywe ustosunkowanie się tonów w muzyce razi tak samo, jak pominięcie harmonji w architekturze, a racjonalna harmonizacja muzyczna sprawia wrażenie podobne do tego, jakie odbieramy wzrokowo dzięki skończonej doskonałości rozmieszczenia rzeczy widzialnych.

Niezależnie od wspólnoty, związanej z pojęciem rytmu, oraz proporcji i harmonji, cechuje zarówno muzykę, jak i architekturę pokrewieństwo w sposobie zakończania swych dzieł. Tak, jak każda kompozycja muzyczna uwieńczona jest zasadniczym akordem tonacji, w której została napisana — (tercją, kwintą i oktawą), nie będąc urywaną na uderzeniu końcowego akordu, — tak też i monumentalne dzieło architektoniczne zostaje opatrzone mocnym gzymsem, poziomym, przecinającym główne pionowe linje konstrukcyjne i zakończającym je energicznie. Lżejsze konstrukcje muzyczne kończą się często strzeliście wysoką nutą (walce Szopena), — podobnie jak piękny pałacyk strzela w górę coraz bardziej zwężającą się wieżyczką.

Pod światło...

Jak autentyzm, to autentyzm

W jednym z numerów październikowych „Głosu" zajęliśmy się na tem miejscu czasopismem ostrzeszowskiem „Okolica Poetów" i propagowanym przez jej redaktora p. Czernika, autentyzmem. Oceniliśmy ten ruch zdecydowanie ujemnie, przyczem nie mieliśmy żadnych celów dydaktycznych. Nazwaliśmy autentyzm, jako tendencję literacką, zwykłem nieporozumieniem, wynikającem z niedostatecznej znajomości, lub też z nieliczenia się z psychologją twórczości, z teorją literatury itp. Według nas autentyzm, przynajmniej w tem znaczeniu i w tych rozmiarach, jakie usiłuje mu nadać p. Czernik, jest niestety prostym bluffem.

Otóż nasze stanowisko mocno p. Czernika podekscytowało. Zwierzył się, że nie odniósł żadnego pożytku m. in. również z naszej krytyki. Lecz to już nie jest nasza sprawa. Nie chcemy robić konkurencji „Szkole (Okolicy) Poetów" i w belfrów nie chcemy się bawić. Kto tak szkolarsko stawia kwestję, tego wiele rzeczy będzie drażnić, a sam wiele rzeczy nie zrozumie.

Tyle, jeżeli chodzi o meritum.

A teraz sprawa inna. „Odpowiedź" promotora autentyzmu właściwie poważnie dyskredytuje autentyzm. Z wielkiej irytacji p. Czernik degraduje nas do rzędu krytyków, „którzy wykazali kulturę orangutanga, umiejącego pisać feljetony". Pięknie. Lecz pytam się, dlaczego aż orangutanga, czy nie lepiej naszej autentycznej małpy? Czy dlatego, że orangutang brzmi fonetyczniej i soczyściej? Być może. Ale jak autentyzm, to autentyzm. Trudno i darmo. Trzeba być konsekwentnym. Nawet w wyzwiskach.

Ten moment słabości mówi o wartości psychologicznej autentyzmu więcej, niż tuzin artykułów.

REMIGJUSZ NEY.

Z TEATRU

„JAŚ Z KSIĘŻYCA"

Lwowski Teatr Rozmaitości wystawił lekką komedję dobrej francuskiej szkoły klasycznej p. t. „Jaś z Księżyca". Trzy akty tej naogół sympatycznej rozgrywki scenicznej robią przedewszystkiem wrażenie niepokojącego zbiorowiska sytuacji kontrastowo poważnych to znów skrajnie humorystycznych. Trudno się doszukiwać jakiejś głębszej konsekwencji w tym typie widowisk. Błyskotliwa gra słów i szablonowych nieraz kawałów scenicznych przeplatana tu i owdzie uśmiechem pierwszorzędnego dowcipu, czy dowcipuszku, dająca wiele pola dowolnej interpretacji reżyserowi i członkom zespołu.

Komedje firmy Achard mają jednak ten dosyć rzadki rys sentymentu nieobarczonego mazgajstwem, a nieraz zręcznie podanego między jedną zabawną komplikacją komedjową a drugą, który usprawiedliwia niejasności przeładowanego możliwościami wątku konstrukcyjnego i każe zapominać o płyciznach trudniejszych psychologicznie miejsc w zadzierżgnięciach akcji i przemian wewnętrznych w duszach osób intrygi.

Komedja „Jaś z księżyca" należy zasięgiem treści i światopoglądu do komedyj już starych bezpowrotnie. Wyśmianie naiwności człowieka nawskroś dobrotliwością przenikniętego w stosunku do świata żyjących stworzeń, okraszone choćby zwycięstwem jego serca nad otoczeniem (zwycięstwem zresztą bliżej nieuzasadnionem) pachnie zawsze nieco gruboskórnością. Pomimo to jest to dziwna komedja. Niezaradność (miejscami pozorna) Jef'a, przysłowiowego „Jasia", znikająca stopniowo w ogniu upartej wiary w wartość kobiety niezasługującej najzupełniej na taki skarb uczucia, wiara oderwanie wroga i nieubłaganie samotna wobec nawskroś przegniłego płytkim konwenansem prawie — półświatka wielkich środowisk francuskich robi jednak wrażenie! Przez kontrast w pierwszym rzędzie. Stopniowanie tego kontrastu należy właśnie w tej komedji do momentów, które umiejętną grą Niewiarowicza dyskretnie podkreślone zaciążyło w drugiej połowie komedji nad całością jej akcji — inna, czy w myśl intencji autora! Ustrlić jednak należy, iż efekt był bardzo sympatyczny i ludzki naprawdę. O ile początek widowiska szedł jakoś trochę po grudzie, to właśnie ta improwizacja szczerej nuty serca ułatwiła tak niemieszczącemu się w roli Clo-clo Krzemieńskiemu („Przeprowadzka!") istotną metamorfozę szczwanego kombinatora w prawdziwego, pełnego skrupułów przyjaciela „Jasia".

Bierna naogół rola Marceliny, zdaniem naszem, nie zbyt nadawała się tak predestynowanej warunkomi do ról demonicznych raczej niż kapryśnych pani Janinie Niczewskiej. Tembardziej ocenić należy wysiłek artystyczny cechujący jej grę. Rola to bodaj w tej komedji najtrudniejsza, gdyż niczem niemal w treści nieuzasadnione skoki i „fronty" odruchów „uczuć" budzą raczej politowanie niż zainteresowanie. Tu leży najsłabsza strona tego rodzaju lekkostrawnych komedyjek.

Dekoracja wnętrza inteligentna i treściwa. Dobry był moment skombinowania reflektorów ze ściemnieniem wnętrza w chwili „rachunku sumienia" Jefa pedantycznie a jednak wzruszająco oskarżającego śpiącą Marcelinę. Kilka starych portretów dało tanim kosztem złudzenie wykwintu urządzenia.

ALEKSANDER KOSMIŃSKI, LWÓW.

Przyjaciołom i Czytelnikom, którzy tak licznie nadesłali nam życzenia świąteczne i noworoczne — serdecznie dziękujemy.

REDAKCJA.

Przypominamy o uregulowaniu zaległej prenumeraty!

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.
Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.
Rękopisów nie zwraca się.